

Amerykańska dezorientacja

3 listopada 2016

Czy taka doświadczona polityczka jak Hillary Clinton może zostać pokonana przez kogoś tak brutalnego i kontestowanego nawet we własnym obozie jak Donald Trump? Cokolwiek się wydarzy, już sam fakt, że tego typu pytanie na poważnie zadaje się dziś w debacie publicznej w USA pokazuje skalę kryzysu jakiego doświadcza amerykańska demokracja.

„The system is rigged” („System jest oszukańczy”). Wiadomo nie od dziś, że w Stanach Zjednoczonych kandydat zdobywający najwięcej głosów w wyborach na poziomie ogólnonarodowym, nie zawsze jest tym, który obejmuje prezydenturę, że wyścig do Białego Domu omija stany, w których wynik wydaje się z góry wiadomy, że niemal 6 mln obywateli, którzy zostali skazani wyrokiem sądu, utraciło prawo głosu, że 11% potencjalnych wyborców nie posiada dokumentów tożsamości wymaganych, by móc wrzucić głos do urny, że system wyborczy daje nadmierną przewagę dwóm dominującym partiom. Wiadomo również, że pieniądze, media, lobby oraz podział okręgów wyborczych mają poważny wpływ na demokratyczną reprezentację kraju [1].

REWOLUCJA OSZUKANYCH

Tym razem chodzi jeszcze o coś innego. O poczucie, które wznosi się ponad podziały między stronnikami różnych opcji. O gniew wyrażony podczas prawyborów nie tylko przez 12 024 000 wyborców Berniego Sandersa, lecz również przez 13 300 000 triumfujących zwolenników republikańskiego miliardera Donalda Trumpa. „System jest oszukańczy”, ocenili, ponieważ rządzący, republikanie i demokraci, rozpętali wojny na Bliskim Wschodzie, które zubożyły Stany Zjednoczone, nie przynosząc im nic w zamian. Oszukańczy, ponieważ większość społeczeństwa nadal odczuwa konsekwencje kryzysu gospodarczego, który nie kosztował nic tych, którzy go rozpętali. Oszukańczy, ponieważ prezydent Barack Obama zawiódł ogromne nadzieje na zmianę,

które wzbudziła jego kampania z 2008 r. Oszukańczy, ponieważ również republikańscy wyborcy nie doczekali się żadnych widocznych efektów, gdy zmobilizowali się, by zdobyć, najpierw w 2010, a potem 2014 r. kontrolę nad dwiema izbami Kongresu. „System jest oszukańczy”, ponieważ w Waszyngtonie nic się nie zmienia, Amerykanie czują się wyłączeni ze swojej ojczyzny przez oligarchię, która ich lekceważy, nierówności się pogłębiają, a klasa średnia zaczyna mieć coraz poważniejsze obawy.

A przecież wszystko tak dobrze się zaczęło. Po stronie demokratów, to, co miało być niczym bułka z masłem dla Hillary Clinton, która miała bez przeszkód zostać nominowana jako kandydatka z ramienia swojej partii w ramach czegoś w rodzaju sukcesji dynastycznej popieranej bez zastrzeżeń przez Baracka Obamę, przekształciło się w zażartą walkę z 70-letnim wolnym strzelcem. Który, ku ogólnemu zdumieniu, zdołał wokół antykapitalistycznych haseł zmobilizować miliony młodych wyborców, rolników i robotników. Pieniądze nie stanowiły dla Sandersa przeszkody, ponieważ zebrał ich wyjątkowo dużo dzięki milionom drobnych darczyńców. W ten sposób udało się obejść jedno z głównych – i najbardziej znienawidzonych – „oszustw” amerykańskiej polityki [2]. Co jest tym bardziej znaczące, że również Donald Trump podczas prawyborów wydał nieskończenie mniej niż wielu republikanów, których pokonał.

Hasła „wycofania państwa” charakteryzowały większość poprzednich kampanii prezydenckich. Dzisiaj nawet konserwatywni wyborcy domagają się, by władze publiczne interweniowały wyraźniej w życie gospodarcze. Nieustanne nawoływania do ograniczenia wydatków socjalnych, „reformy” systemu emerytalnego, ograniczenia pomocy dla bezrobotnych nie należą zresztą do programu Donalda Trumpa. Jeżeli chodzi o traktaty o wolnej wymianie – główny motyw jego kampanii wyborczej – to chce zerwać porozumienia wynegocjowane przez jego poprzedników, tak republikanów, jak i demokratów, i wprowadzić opłaty celne dla amerykańskich przedsiębiorstw,

które przeniosły swoją produkcję za granicę. Trump i jego rywalka są zgodni jedynie co do tego, że państwo powinno ponosić bardzo wysokie koszty odbudowy infrastruktury transportowej kraju [3]. W ten sposób rozsypał się konsensus między oboma partiami w sprawie globalizacji i neoliberalizmu. W miarę jak wielkie przedsiębiorstwa amerykańskie demaskowały swój cynizm i zachłanność, zburzyły ideę o nierozzerwalnej więzi między ich sukcesem a pomyślnością kraju [4].

Nawet jeśli Hilary Clinton zapowiedziała, że powierzy ważne funkcje swojemu mężowi, odpowiedzialnemu za zwrot Partii Demokratycznej na prawo przed ćwierćwieczem, ich formacja nie ma już tego rysu, który oboje nadawali jej, gdy byli lokatorami Białego Domu. Ich wyborcy zwrócili się bardziej na lewo i są mniej skłonni do kompromisu z republikanami: termin „socjalizm” nie przeraża ich już tak bardzo... Jeżeli chodzi o cztery emblematyczne punkty konserwatywnego zwrotu „nowych demokratów” w latach 90. ub. w. – umowy o wolnej wymianie handlowej, więzienny boom, deregulacje finansową oraz ograniczenie płac – to Hilary Clinton musiała pójść na ustępstwa wobec zwolenników Sandersa.

Gwałtowne wystąpienia Trumpa przeciwko meksykańskiej imigracji i islamowi, jego seksizm i rasistowskie teorie wywołują taki niesmak, że nie sposób dostrzec w nim cokolwiek innego. Jednakże jeżeli chodzi o wydatki socjalne, politykę handlową, prawa osób homoseksualnych, sojusze międzynarodowe czy działania militarne za granicą, to Trump tak zdecydowanie odrzucił zasady swojej partii, że trudno sobie wyobrazić, że republikańscy przywódcy mogliby powrócić do tych kwestii w przyszłości. Oczywiście jeżeli nie chcą utracić definitywnie „ich” zaplecza, które okazało już wyraźnie swoje zniecierpliwienie, głosując w prawyborach na mało znanego kandydata, by powstrzymać ich ciosy, również przeciwko liderom z własnego obozu. „Nasi politycy, ocenia Donald Trump, z zapałem forsowali politykę globalizacji. Umożliwiła ona wzbogacenie się elitom finansowym, które płacą za ich

kampanie. Ale milionom amerykańskich pracowników przyniosła tylko biedę i mdłości”. To dość zaskakujące słowa w ustach kogoś, kto dzieli swój czas między penthouse na Manhattanie i podróże prywatnym samolotem. Jednak nie można odmówić im trafności.

ZMIANA PRIORYTETÓW

Wszystko to mogłoby sugerować, że... system nie jest oszukańczy. I że, jak przekonuje Francis Fukuyama w artykule niedawno opublikowanym na łamach *Foreign Affairs*, amerykańska demokracja funkcjonuje, ponieważ odpowiada na gniew ludu, detronizuje dynastię Clintonów, upokarza republikańskich baronów, umieszcza w centrum kampanii wyborczej kwestie nierówności, protekcjonizmu i dezindustrializacji [5]. I być może oznajmia koniec podwójnego kłamstwa politycznego.

W miarę upływu lat Partia Demokratyczna stała się narzędziem wykształconej klasy średniej i wyższej. Niemniej jednak eksponując symbole swojej „różnorodności”, zdołała zdobyć przytłaczającą większość głosów Afroamerykanów i Latynosów, a opierając się na związkach zawodowych, zachowała robotnicze zaplecze wyborcze. Jednakże jej wizja postępu przestała być egalitarna. Czy to indywidualistyczna i paternalistyczna (zalecenie, by podejmować więcej wysiłków), czy merytokratyczna (zalecenie, by więcej się uczyć), nie proponuje żadnej perspektywy dla Ameryki peryferyjnej, która z dala od wybrzeży pozostaje poza zasięgiem prosperity wielkich światowych metropolii i którą omijają fortuny z Wall Street i Doliny Krzemowej. I która patrzy na to, jak kurczą się miejsca pracy w przemyśle, będące przez długi czas ostoją dla klasy średniej mało wykształconej, lecz o stosunkowo dobrze zabezpieczonej przyszłości.

Również Partia Republikańska przed Trumpem nie miała jej, ani biednym „drobnym Białym” nic do zaoferowania. Jej głównym celem było w istocie obniżyć podatki dla kręgów biznesowych, pozwolić im eksportować i inwestować za granicą. Jednakże

mówiąc robotnikom i białemu proletariatu o ojczyźnie, religii i zasadach oraz wyolbrzymiając prześladowanie głębokiej Ameryki przez wspierane mniejszości oraz wyniosłych intelektualistów, konserwatyści przez długi czas utrzymywali sytuację, gdy ofiary ich polityki gospodarczej i handlowej służyły im jako wyborcze mięso armatnie [6].

Poparcie tych grup dla Donalda Trumpa wynika z czegoś innego. Nowojorski potentat nie mówi im jedynie o Biblii i noszeniu broni, lecz o przemyśle, którego trzeba bronić, i o umowach które trzeba wypowiedzieć. Hillary Clinton nie do końca odzyskała sympatię tych gniewnych wyborców, umieszczając ochoczo większość z nich w „gronie godnych pożałowania osób”, złożonego z „rasistów, seksistów, homofobów, ksenofobów i islamofobów”. Ta głęboka diagnoza została postawiona podczas zbiórki funduszy w Nowym Jorku przed „gronem osób” godnych podziwu, ponieważ słono zapłaciły, by ją, usłyszeć.

Czy wybory naznaczone takimi wahnięciami ideologicznymi, a nawet chęcią by odwrócić całkowicie odwrócić sytuację, mogą zakończyć się zwycięstwem kandydatki zapewniającej status quo? Tak, jeśli będzie ona miała jako przeciwnika jeszcze bardziej znienawidzonego outsidera. W gruncie rzeczy to na tym polega główne „oszustwo”. Jest ono charakterystyczne nie tylko dla Stanów Zjednoczonych. W przyszłym roku podobna sytuacja może zaistnieć również we Francji: gniew społeczeństwa wywołany skutkami globalizacji, segregacją społeczną i zмовą „elit”, niechybnie udaremniony przez grę polityczną, która sprawi, że tak czy siak kromka upadnie masłem do dołu.

Nic bardzo nieoczekiwanego nie może przytrafić się Hillary Clinton – otoczona ekspertami, analitykami, specami od wizerunku, kalkuluje dokładnie każdy ruch – podczas gdy Donald Trump zdecydował się odwrócić wszystko do góry nogami. Robi to, odrzucając ustaloną strategię swojej partii.

Reelekcja obecnego prezydenta w 2012 r. była zaskoczeniem dla republikańskich kacyków. Wywnioskowali z niej, że ich przyszłe

zwycięstwo będzie wymagało zmniejszenia przewagi demokratów wśród Czarnych (Hillary Clinton trafia do nich w mniejszym stopniu niż Obama) i – zwłaszcza – wśród Latynosów, których znaczenie demograficzne nie przestaje rosnać. To w nich uderza najmocniej restrykcyjna polityka republikanów w dziedzinie imigracji, należałoby zatem wykazać się większą otwartością w podejściu do kwestii uregulowania sytuacji części nielegalnych imigrantów. Preferencje wyborcze nie są zapisane w genach, więc nic nie będzie przeszkadzało Latynosowi zagłosować na prawicę, jeśli jest przeciwny aborcji albo nie lubi płacić podatków. Polscy, włoscy czy litewscy imigranci głosowali na demokratów, by potem poprzeć Ronalda Reagana; w 2000 r. 70% muzułmanów opowiedziało się po stronie George'a W. Busha, a 8 lat później 90% z nich głosowało na Obamę [7].

Zamiast zebrać o kilka dodatkowych głosów latynoskich i czarnych wyborców, wrogo nastawionych wobec republikanów, Trump wybrał odmienną taktykę. Próbuje zwiększyć swoją przewagę wśród nielatynoskich Białych. Choć są malejącym sektorem społeczeństwa, w 2012 r. nadal stanowili 74% wyborców. Aby zdobyć poparcie szczególnie robotników i słabo wykształconych pracowników Trump jednocześnie podsyca obawę przed tym, by napływ imigrantów nie spowodował destabilizacji i zachwiania tożsamości, oraz powtarza obietnicę odrodzenia przemysłowego („Make America great again”). Taki dyskurs przemawia do tej grupy społecznej, o którą nie troszczy się zbyt demokratyczny establishment, nie łącząc jej ani z cyfrową nowoczesnością, ani z różnorodnością demograficzną. Bez wątpienia dlatego, że uznaje, iż grupy te wpisują się w przebrzmiałe, upadające i „godne pożałowania” kulturę i środowisko.

NIEWIADOMA A NEOLIBERALNE STATUS QUO

O ile metropolie zapewniają coraz większą część dobrobytu kraju oraz jego produkcji intelektualnej, o tyle wybory rozgrywają się przede wszystkim w stanach peryferyjnych. Przez kilka miesięcy Kalifornia i Nowy Jork muszą zatem nieco

spuścić z tonu, ponieważ ich głos jest już właściwie rozstrzygnięty (na korzyść demokratów), a margines zwycięstwa nie ma znaczenia. Inaczej jest w Ohio, Pensylwanii, Michigan czy Wisconsin. W sytuacji, gdy wynik wyborów jest tam bardziej niepewny, zabiega się o nie, organizuje mitingi, uważnie bada ich potrzeby. I co wynika z tej obserwacji? Że te stany, bardziej białe, starsze i często mniej wykształcone, utraciły setki tysięcy miejsc pracy z powodu delokalizacji oraz chińskiej i meksykańskiej konkurencji, że pełne są zdegradowanych poprzemysłowych przestrzeni, że mniej odczuły odbicie gospodarcze niż pozostałe części kraju. Protekcjonistyczny, zaniepokojony dyskurs Trumpa znajduje tu zatem wdzięcznych słuchaczy, a Hillary Clinton stara się na próżno sprzedać tu „dobry bilans” prezydenta Obamy.

Wkrótce, gdy megamiasta rozrosną się jeszcze bardziej, a imigracja przekształci Amerykę w kraj składający się w większości z „mniejszości”, demokraci będą mogli się wkrótce obejść bez robotniczego Midwestu, tak jak wcześniej odcięli się od „drobnych Białych” z Południa. Jednak jeszcze nie tym razem.

W tym roku jest jeszcze za wcześnie, by móc – nie narażając się na ryzyko – krzyczeć niczym rozpuszczone dzieci na wszystkich tych, którzy (niewłaściwie) reagują na problemy, które samemu się stworzyło. By im doradzać, aby się kształcili, zmieniali zawody, przeprowadzali się. Ponieważ mając Donalda Trumpa za przeciwnika, demokraci nie mogą już być pewni, że to, co pozostało im z robotniczego elektoratu, nie ma już innego wyjścia, niż zagłosować na nich. Uosabiając tę „elitę” polityczną, która od ćwierć wieku prowadziła niższe klasy ku katastrofie, Hillary Clinton musi zatem brać pod uwagę tę część społeczeństwa, której ekonomiczna przyszłość jest zagrożona i którą przeraża utrata własnego statusu społecznego. Jej życiorys jest imponujący, jednak w 2016 r. wydaje się, że wielu Amerykanów chciałoby oczyścić scenę polityczną i mieć w tym celu łaskę dynamitu nazywającą się

Donald Trump.

I nagle Biali znajdujący się w trudnej sytuacji są znów brani pod uwagę, są osłuchiwani podobnie jak przed ćwierćwieczem czarny lumpenproletariat. W trakcie takiego badania można odkryć, że skraca się średnia spodziewana długość życia górników z Appalachów, hodowców tytoniu z Virginii i wszystkich tych, którzy zmuszeni byli zmienić pracę i stać się np. stróżami w Walmarcie, tracąc przy tym 2/3 swojego wynagrodzenia. Że w przypadku białych Amerykanów bez wyższego wykształcenia średnia spodziewana długość życia jest krótsza o prawie 13 lat niż w przypadku absolwentów uniwersytetów (67,5 w porównaniu do 80,4), a w odniesieniu do kobiet różnica wynosi nieco więcej niż 10 lat (73,5 w porównaniu do 83,9). Już nie tylko w czarnych gettach znajdziemy lombardy, młode samotne matki żyjące z zasiłków socjalnych, wysoki odsetek otyłości i uzależnienia od narkotyków. W oczach tej pogrążonej w problemach części społeczeństwa doświadczenie Hillary Clinton, jej szacunek dla norm politycznych obowiązujących w Waszyngtonie niekoniecznie będą stanowiły atut.

Jak będzie wyglądała ich „postindustrialna:” przyszłość, gdy zamknięte zostaną wszystkie kopalnie węgla, które dają im zatrudnienie, gdy taksówkarze i kierowcy ciężarówek zostaną zastąpieni przez samosterujące samochody Google’a, gdy kasjerki w supermarketach zamienione zostaną przez skanery, a robotnicy – przez roboty? Wszyscy mają być programistami? Kelnerami? Drobnymi przedsiębiorcami dostarczającymi dania zamówione przez aplikację komórkową, wynajemcami pokoi dla turystów, pomocami domowymi? Hillary Clinton nie odpowiada na to zaniepokojenie, przypisując je niewątpliwie niechęci wobec postępu. Trump mówi o nim nieustannie, po to, by zapytać tych, w których brutalność jego osobowości i brak doświadczenia politycznego budzi przerażenie: „Co macie do stracenia?”

Oszukańczy czy nie, przekonamy się wkrótce, że amerykański system stał się zbyt delikatny, by wpaść w ręce człowieka takiego jak on. Jednak nawet jeśli potrzeba by było w

najbliższych tygodniach jakiegoś zamachu, nieudanego wystąpienia telewizyjnego czy ujawnienia kompromitującej korespondencji, by wyeliminować Hillary Clinton z marszu do Białego Domu, to wyraźnie okazało się, że jej główną siłą napędową jest nie walka przeciwko autorytarnej prawicy, lecz utrzymanie neoliberalnego status quo.

Autorstwo: Serge Halimi

Tłumaczenie: Ewa Cylwik

Źródło: Monde-Diplomatique.pl

PRZYPISY

[1] Dokładniejsza analiza wpływu tych czynników w Serge Halimi i Loïc Wacquant, „Démocratie à l'américaine”, oraz Benoît Bréville, „Géorgie et Caroline du Nord, les deux Sud”, „Le Monde diplomatique”, odpowiednio grudzień 2000 i październik 2012. Patrz również Elizabeth Drew, „Big dangers for the next election”, The New York Review of Books, 21 maja 2015.

[2] Według sondażu przeprowadzonego pod koniec maja 2015 r. 84% Amerykanów oceniało, że pieniądze zajmują nadmiernie ważne miejsce w życiu politycznym ich kraju, 85%, że system finansowania kampanii wyborczych powinien zostać całkowicie przebudowany i głęboko zmieniony, 55%, że zwycięzcy wyborów skupiają się na promowaniu interesów grup, które ich finansowały („The New York Times”, 2 czerwca 2015 r.).

[3] Hillary Clinton zapowiada, że w ciągu 5 lat przeznaczy na nią 275 mld dolarów, Donald Trump – dwukrotnie więcej. Por. Janet Hook, „Trump bucks his party on spending”, „The Wall Street Journal”, Nowy Jork, 19 września 2016.

[4] Patrz William Galston, „The double political whammy for business”, „The Wall Street Journal”, 20 lipca 2016.

[5] Francis Fukuyama, „American political decay or renewal?”, „Foreign Affairs”, Nowy Jork, lipiec-sierpień 2016.

[6] Por. Thomas Frank, Pourquoi les pauvres votent á droite, Agone, Marylia 2013. Czyt. również „Stratagème de la droite américaine, mobiliser le peuple contre les intellectuels”, „Le Monde diplomatique”, maj 2006.

[7] Według „New York Times” z 9-10 stycznia 2016.